ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 7. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 17 marca 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI

HELENA BOGUSZEWSKA

W UKRYTEJ POLSKIEJ SZKOLE.

Właśnie dzisiaj, kiedy dzieci nasze poszły ze swych szkół do Belwederu powinszować imienin Marszałkowi, Wielkiemu Przyjacielowi tych małych ludzi, już urodzonych i wychowanych w wolnej Polsce — właśnie w tym dniu chcę opowiedzieć, jak to było, kiedy ja chodziłam do szkoły. Do ukrytej polskiej szkoły.

Nie można było iść prędko.

Podbijany kolanami, płaski worek, uszyty w domu z byle czego, uwiązany tasiemkami do paska, — który wówczas jeszcze był w pasie — podskakiwał przy każdym kroku. Zawarte w nim książki, czy części książek i kajety — rysowały się prostokątem na kamlotowej, lśniącej powierzchni czarnego fartucha. Więc nie można było iść prędko.

I nie można było iść gromadnie. Mijało się obojętnie, spotykane na ulice koleżanki — a każda z nich miała taki sam worek pod fartuchem. Trzeba było przeczekiwać. Po jednej znikać w bramie. W bramie domu, gdzie była ukryta pensja.

Trzeba było patrzeć, czy nie patrzy stójkowy i czy wogóle nie stoi. Ale on zwykle nie stał. Płacono mu za to, żeby nie stał.

Wchodziło się do klasy, która wyglądała, jak zwykły, duży, jadalny pokój, z wielkim stołem pośrodku, obstawionym krzesełkami. W szafie tkwiły na wszelki wypadek, na wypadek rewizji, wiecznie te same zakurzone „robótki", niejako zamarłe w pewnem stadjum rozwoju i nigdy nie posuwające się ani o jeden ścieg.

Takie to były nasze pomoce naukowe.

Bo to się działo w tych zamierzchłych czasach, kiedy się nie obserwowało z natury, nie wyciągało wniosków i nie badało. Fasola kiełkowała w dalekich podmiejskich ogrodach — a nie na muślinie w pracowni — i kiełkowanie to nie stanowiło żadnego dla nas zagadnienia. Kijanki w słojach na oknie nie stawały się żabami, i nie mokły w blaszanych wiaderkach w pracowni, przyniesione z wycieczki wodorosty. Bo nie było ani pracowni, ani wycieczek. Niczego się nie zwiedzało, niczego się nie oglądało na własne oczy. Przeciwnie, kuło się tak pojętą „przyrodę" na pamięć.

W klasie wydobywało się z worków pod fartuchami małe zeszyty do słówek. Pisało się notatki.

Pisało się dużo — pisało się ciągle. Notowało się na lekcjach, potem przepisywało na czysto. Czasem przepisywało się ze starych notatek — całe tomy. I wciąż z temi samemi błędami — o ile któraś przekręciła, albo niedosłyszała.

W innych, niż dzisiaj, kategorjach, widziało się wówczas dobro. Polskie notatki, polska książka — to już było tak wiele! Przecież nie żaden Iłowajski! Chodziło o to, żeby po polsku — takie szczęście!

„Wieczory czwartkowe"...

Rey, Kochanowski, Stanisław August — podchodzili blisko — dalecy — i patrzyło się na nich z namaszczeniem i poczuciem ważności. Nawet odwieczny, omszały Kadłubek nabierał znaczenia — skoro go nam ukazywał profesor Chlebowski.

Inny stosunek do nauki był wtedy, niż dziś. Inny do profesorów. Groziła rewizja. Groziły represje. Byliśmy, jak zaprzysiężeni.

Przecież, prof. Mieczyńskiego, zesłano już kiedyś do Rosji na kilka lat. Powrócił. Ale miano go na oku. Gdyby tak go tu zastano, nie pomogłyby zakurzone robótki z szafy. Niktby w nie nie uwierzył.

Profesor Mieczyński przed lekcją przechadzał się w drugim pokoju i palił papierosa. A myśmy omdlewały ze strachu, powtarzając jeszcze coś na gwałt z małych kajecików.

Wchodził ze swoją groźną, czarną brodą—i jeszcze nic, nie powiedział, tylko patrzył złowrogo przez szkła binokli — a myśmy splatały i rozplatały pod stołem spocone ze zgrozy palce. Zapyta ze składni? Bo uczył polskiego. I uczył świetnie. Poprostu, jak nikt. Lekcja upływała w niesłychanem napięciu. Ważkie było każde słowo. I co umiem — to przez Niego.

Profesor Stanisław Kramsztyk nie teroryzował nas. Był łagodny i równy. Uczył fizyki i nie miał do tego żadnych przyrządów. Ale miał rzadki talent nauczania. Upłynęło wiele lat — i w trzeciej klasie polskiego gimnazjum wykładałam mechanikę. Żywcem, żywcem z tamtych lekcyj kochanego profesora Kramsztyka. Niczego nie zapomniałam. I tamte jego lekcje były ważniejsze, niż wszystkie inne z wyższych klas, z późniejszych czasów, kiedy już były i pracownie, i przyrządy, i pomoce, i wszystko.

Raz w czasie lekcji fizyki rozległy się kroki na schodach. Kroki wielu ludzi w ciężkich butach. Na chwilę przerwała się lekcja. Przeczekiwało się, nie oddychając. Rewizja?

Minęli drzwi. Poszli wyżej. Ach, to tylko robotnicy, którzy odnawiali mieszkanie na trzeciem piętrze!

— Więc mówiliśmy o dźwigni dwuramiennej, że...

Odetchnęłyśmy. Słuchałyśmy dalej, radośnie i uważnie, jak o odzyskanych przyjaciołach: o bloku, o klinie, i o równi pochyłej, która odrazu nabrała waloru...

Czasem z głębin tych kilku połączonych ze sobą mieszkań, które razem obejmowały całe piętro i z których każde wynajęte było pod innem nazwiskiem — wyłaniała się pani przełożona.

W czarnej sukni, majestatyczna, daleka, wszechwiedząca, wszystkiem rządząca, niedostępna.

Poźniej przez długi czas rozmawiało się o tem, co powiedziała i na którą spojrzała.

Po lekcjach zalegałyśmy przedpokoje długo i tłumnie. Trzeba było rozmawiać szeptem.

Wypuszczano nas po jednej, czasem po dwie, żeby nie zwracać uwagi.

Znowu worki podskakiwały pod fartuchami.

Tak to było na ukrytej pensji.

A. WALENTA

ROZWÓJ SZKOLNICTWA POLSKIEGO W NIEPODLEGŁEJ POLSCE

Nauczanie powszechne jest podstawą rozwoju każdego narodu, to też zaborcy nasi, opanowując szkolnictwo, mieli w ręku najlepszy środek wynarodowienia i zabicia naszej odrębności. Każdy z nich



Szkoła przy ul. Otwockiej.

miał jednak inną metodę postępowania. W zaborze rosyjskim, stan szkolnictwa był poprostu rozpaczliwy, tak pod względem ilości szkół, jak i pod względem poziomu nauczania. Przypatrzmy się cyfrom, dotyczącym całości terenu dzisiejszej Rzeczypospolitej, z wyjątkiem Górnego Śląska, części Wileńszczyzny:

W r. 1910/11 liczba uczniów szkół powszechnych i równorzędnych wynosiła 2.640.497.

W r. 1922/23 liczba uczniów wynosiła 3.261.307.

W r. 1927/28 liczba uczniów wynosiła 3.362.822.

Pierwsze lata naszej niepodległości, w ciągu których liczba uczniów tak nadzwyczajnie wzrosła, poświęcone były pracy około tworzenia, budowania, otwierania nowych szkół. Następne lata, kiedy wzrost tej liczby jest już mniejszy, zużyte zostały na pracę koło podniesienia poziomu nauczania.

Więc przedewszystkiem, wysiłki skierowano na poprawienie rodzaju szkół. Wiadomą jest rzeczą, że im szkoła jest lepiej zorganizowana, tem dzieci mogą się więcej nauczyć. Najlepsze wyniki pracy otrzymuje się w szkołach 7-klasowych, to jest takich, w których dziecko przechodzi przez siedem poziomów nauczania pod kierunkiem nauczycieli lub nauczycielek, z których każdy zajmuje się tylko jedną klasą. Inaczej dzieje się po wsiach, gdzie jest, niestety, dużo jeszcze 1-klasówek i 2-klasówek, a nauczyciel w jednej izbie musi jednocześnie prowadzić dwie, a nawet trzy klasy. Oczywista rzecz, że nauka w takiej szkole niżej zorganizowanej — musi szwankować i nie da się nawet porównać z nauczaniem w szkole wyżej zorganizowanej.

W latach od 1922 do 1928 r. cały wysiłek władz szkolnych szedł w kierunku podniesienia stopnia organizacyjnego publicznych szkół powszechnych.

W r. 1923/24 liczba uczniów w jednoklasówkach (t. j. szkołach, w których jeden nauczyciel uczy wszystkie cztery poziomy) wynosiła 31,8%, a uczniów w szkołach 7-klasowych 28,2%.

A w r. 1927/28 liczba w 1-klasówkach stanowi tylko 24,1%, a w 7-klasówkach 32,0%!

Z liczb tych widzimy jasno, jak wzrosła ilość szkół wyżej zorganizowanych i jak wzrosła ilość dzieci, pobierających naukę w coraz lepszej formie.

Podniesienie poziomu wszystkich szkół powszechnych do poziomu szkoły 7-klasowej ma przedewszyst-

kiem to znaczenie, że równa wszystkich obywateli pod względem minimum wykształcenia.

Oczywiście im więcej dzieci chodzi do szkół powszechnych, tem mniej ich pozostaje poza szkołą, bez nauki.

Przypatrzmy się tej tabelce:

	R O K						
	1921/22	1922/23	1923/24	1924/25	1925/26	1926/27	1927/28
Ogólna liczba dzieci w wieku szkolnym	5075166	4851511	4519449	4230000	3919621	3809254	3735895
Liczba dzieci w szkołach powsz. i w 3 niższych klasach gimn. w szkołach specjalnych i innych na poziomie szkół powszechnych	3305452	3345309	3395484	3362675	3353530	3449358	3465093
% . . .	65,1	68,9	75,1	79,5	85,6	90,6	92,8

Widzimy więc, że szkolnictwo powszechne rozwija się z roku na rok, coraz lepiej — i niedaleki jest czas, kiedy wszystkie dzieci w wieku szkolnym znajdą się w szkole.

DZIESIĘCIOLECIE SZKOLNICTWA POWSZECHNEGO
W POW. WARSZ.

Dziesięciolecie niepodległości było w wielu dziedzinach powodem do zreasumowania działalności dotychczasowej i zastanowienia się nad programem pracy na przyszłość.

Nasz młody i niezbyt jeszcze silny samorząd szkolny nie wziął zbyt wielkiego udziału w tej pracy. Jeżeli chodzi o Rady Szkolne Powiatowe, to jedynym prawie wyjątkiem jest Rada Szkolna Powiatu Warszawskiego (Warszawa, Polna 78 m. 4, tel. 315-24), która wraz z Oddziałem pow. warszawskiego Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych wydała dość okazałą i bogato ilustrowaną książeczkę p. t. „Dziesięciolecie szkolnictwa powszechnego w pow. warszawskim".



Czytelnia w szkole przy ul. Otwockiej.

Na treść — obok podniosłej przedmowy — złożyły się działy:

I. Rozwój szkolnictwa, w którym pp.: inż. Z. Piotrowski, P. Parol, B. Jeżewski i insp. J. Radwański przedstawili początki, stan dzisiejszy i przyszłość szkolnictwa powszechnego w powiecie.

II. O pracy samorządu szkolnego powiatowego i gminnego (pp.: S. Jankowski, E. Kasperowicz, ks. pastor A. Loth, Z. Szymański, dr. K. Orzechowski i W. Tyrankiewicz).

III. O rozwoju organizacji i instytucyj nauczycielskich w powiecie (pp.: B. Chróścicki, M. Ciesielski, W. Szewczyk, A. Jędraszko, J. Olszowski).

Całość uzupełniają spisy osób czynnych w samorządzie szkolnym i w szkolnictwie powszechnem powiatu oraz informacyjny art. p. F. Frysza o powiecie warszawskim, wreszcie specjalnie sporządzona mapka pow. warszawskiego z oznaczeniem szkół powszechnych i ich organizacji. Już choćby z tego względu książka ta ma znaczenie dla rozwijającej się obecnie pracy regjonalnej. Jest ona pozatem dokumentem pracy ideowej grona ludzi, dających czynne dowody zrozumienia doniosłości oświaty narodu.

JAK ZORGANIZOWALIŚMY OPIEKĘ SZKOLNĄ.



Korytarz w szkole przy ul. Otwockiej.

Opieka Szkolna została zorganizowana z początkiem *roku szkolnego 1922/23*. Składki miesięczne były uchwalone w wysokości 50 mkp. od dziecka. Składka ta, wobec dewaulacji mkp., nie pozwalała rozwinąć jakiejkolwiek działalności; wobec czego Zarząd Opieki był zmuszony zwrócić się do rodziców o zwiększenie składki. Zwiększenie to zostało uchwalone stopniowo 100, 500, 600 mkp., pod koniec roku szkolnego po 1.000 mkp.

Rok szkolny został zamknięty kwotą 2.112.280 mkp., która składa się z następujących pozycyj:

składka miesięczna	1.397.514 mkp.
„ jednoroczna	356.991 „
dochód z przedstawienia zorganizow. przez oddz. VII	172.775 „
ofiary dobrowolne	185.991 „
Razem	2.112.280 mkp.



Szkoła przy ul. Rybaki.

Ważniejsze wydatki wynosiły:

pomoc dzieciom	.037.770 mkp.
„ szkole	1.074.510 „
Razem	2.112.280 mkp.

Materjały piśmienne, książki, ubranka dla dzieci, piłka nożna z przyborami, zasiłek na wycieczkę oddz. VII 180.000 mkp., latarnia projekcyjna 488.000 mkp.

Opieka starała się usilnie zorganizować chociaż półkolonje, lecz obojętność rodziców, szczególnie młodszych oddziałów, którzy bardzo niechętnie wpłacali składki, projektu zrealizować nie pozwoliła.

Rok szkolny 1923/24 był również bardzo ciężki, dalsza dewaluacja mkp., stała obojętność rodziców,



Gabinet fizyczny w szkole przy ul. Białołęckiej.

którzy uważali, że wszystko w szkole powinno być bezpłatne, były to powody, że Opieka musiała walczyć z wielkiemi trudnościami. Uchwałą rodziców, składki były stopniowo podnoszone od 5.000 do 270.000 mkp.

Rok szkolny zamknięto kwotą 478.396.000 mkp. przy pozostałości w gotówce 149.642.000 mkp.

Ważniejsze pozycje dochodu stanowiły:

składki rodziców	284.418.000 mkp.
dochód z loterji fantowej	158.530.000 „
ofiary dobrowolne	35.448.000 „
Razem	478.396.000 mkp.

Ważniejsze wydatki wynosiły:

pomoc dzieciom	190.334.000 mkp.
„ szkole	138.420.000 „
Razem	328.754.000 mkp.

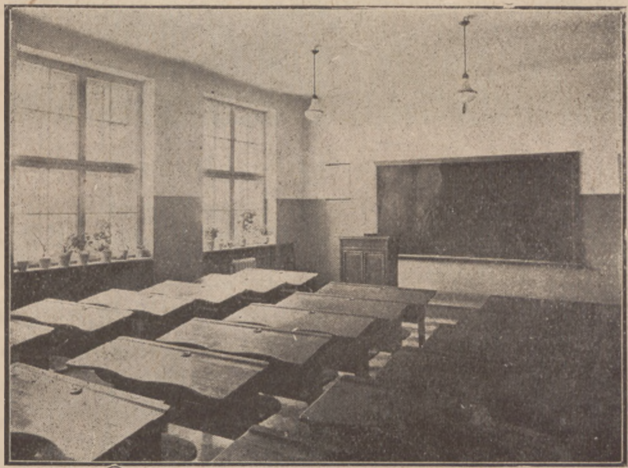
Jak widać z powyższych danych Opieka nie mogła rozwinąć swej działalności, tem bardziej, że Wydział Szkolny stale odmawiał wszelkich funduszów na pomoce naukowe, nawet Opieka musiała nabyć pyłochłon, celem zwalczania kurzu. Staraniem Opieki troje dzieci: jedna dziewczynka i dwu chłopców otrzymywali bezpłatnie obiady w domu prywatnym, jeden z członków Zarządu zapłacił 15.000.000 mkp. za naukę stenografji za uczennicę oddz. VII; jedna dziewczynka otrzymała niektóre przedmioty z bielizny i ubrania.



Sala rysunkowa w szkole przy ulicy Grójeckiej.

Celem zorganizowania wycieczki do Krakowa, Zakopanego i Wieliczki, dla kończących oddz. VII, dzięki usilnym zabiegom Pp. nauczycielek, został urządzony koncert publiczny, który dał czystego zysku 909.788.000 mkp. W wycieczce wzięło udział dzieci 38 i 2 P. nauczycielki. Koszt wyniósł 1.424.008.000 mkp. Na fundusz ten złożyły się następujące pozycje:

dochód z koncertu	909.788.000 mkp.
dochód ze sklepiku szkolnego	213.000.000 „
ofiara P. Nagórny, opiekunki honorowej	277.120,000 „
opłata od dzieci	24.100.000 „
Razem	1.424.008.000 mkp.



Klasa w szkole przy ulicy Otwockiej.

M. GADOMSKA

W TRZYDZIESTOLECIE ODKRYCIA RADU.

Słusznie stawiają Marję Curie-Skłodowską w rzędzie największych odkrywców świata. Bowiem pierwiastek rad, który tak skromnie przyszedł na świat, w nędznej szopie, na przedmieściu Paryża, jako produkt odrzuconej i uznanej już za zbędną, rudy pouranowej — potrafił wstrząsnąć najważniejszemi dziedzinami nauki i sprowadził zupełny przewrót w pojęciach o budowie Wszechświata, w tym wypadku mikro-kosmosu.

W medycynie stworzył nowy, potężny dział t. zw. rado, lub curie-terapji, geologom udostępnił dokładne określenie wieku epok geologicznych, astronomom wieku ziemi, a obecnie znowu inżynierowie, przy konstruowaniu wozów międzyplanetarnych, mających nas przenosić na Księżyc, Marsa, czy inne planety, liczą się z tem, że gdyby udało się uzyskać większą ilość radu, to byłaby to również najdogodniejsza i najbezpieczniejsza, a może wogóle jedyna siła popędowa.

Ale mowa tu jest o kilogramach, podczas, gdy cała ilość tego pierwiastka, jaką ludzkość dotąd posiada, liczy się ledwie na gramy. Prócz tego rad, przy swoich najróżnorodniejszych właściwościach, służy tylko dobru ludzkości, jakby w myśl życzenia swoich wynalazców. Niewielu zaś odkrywców miało tę satysfakcję.

Wystarczy wymienić tylko Nobla, największego

propagatora pokoju, którego wynalazek dynamitu, stworzony jedynie dla celów postępu techniki, stał się podstawą nowoczesnej sztuki wojennej.

Odkrycie radu nie było wcale darem przypadku. Wymagało długoletnich studjów, oraz wytężonej, uciążliwej pracy.

Marja C. Skłodowska pisze w jednym ze swych pamiętników:

„Dobrze jest zastanowić się, ile poświęcenia wymaga takie życie. Praca uczonego w laboratorjum nie jest, jak wielu może przypuszcza, spokojną idyllą. Częściej jest upartą walką, wypowiedzianą rzeczom, otoczeniu i samemu sobie. Wielkie odkrycia nie wyskakują gotowe z umysłu uczonych — “

Ona już od najmłodszych lat (ur. 7.XI 1867 r. w Warszawie) marzyła o poświęceniu się studjom fizyko-matematycznym. Ukończywszy gimnazjum w Warszawie, zdołała w kilka lat potem wyjechać do Paryża, aby dalej studjować w Sorbonie. Zamieszkała w dzielnicy szkolnej, w małym pokoiku na 6-tem piętrze i rozpoczęła, jak sama nazywa, okres bohaterski, oddawszy się zupełnie pracy naukowej. Już w dwa lata potem otrzymała licencjat nauk fizycznych, w 3 lata matematycznych i rozpoczęła pracę laboratoryjną. W tym roku poznała Piotra Curie, znanego już wówczas z wielu prac uczonego-fizyka. Jakkolwiek wspólność dążeń zbliżyła ich odrazu, Marja Skłodowska wahała się poślubić obcokrajowca, pragnąc pracować przedewszystkiem dla ojczyzny — w ojczyźnie.

Ale przyjechawszy do Polski poznała, że niema tu dla niej warsztatu pracy. Wróciła tedy do Paryża i w r. 1895 odbył się jej ślub z Piotrem Curie. Wynajęto teraz małe mieszkanie, którego jedynym luksusem był widok na ogród.

„W pracowni naszej znajdował się duży stół — pisze pani Curie — półki na książki, tablica i tylko dwa krzesła — z obawy przed gośćmi — “

„Środki nie pozwalały nam trzymać służącej. Musiałam zatem sama sprzątać i gotować, do czego zresztą przywykłam w mem studenckiem życiu.“

Pani Curie miała już za sobą kilka poważnych prac, gdy nagle w świecie naukowym zaczęto mówić o odkryciu Bequerela, który zauważył, że metal uran wysyła promienie, naświetlające płytę fotograficzną.

„Zbadanie tego zjawiska wydało mi się niezwykle pociągającem. Postanowiłam zająć się opracowaniem tego materjału.“

„Zaczęłam wówczas poszukiwać, czy istnieją inne pierwiastki, obdarzone tą samą właściwością. Okazało się, że związki toru wydają promienie podobne do uranowych.“

Pracę swą rozpoczęła Marja C. Skłodowska w r. 1897 zupełnie samodzielnie. Studjując te zjawiska bliżej, zauważyła, że promieniotwórczość niektórych rud toru i uranu była nieproporcjonalnie wielką w stosunku do zawartości w nich toru lub uranu.

I oto nagle zrozumiała, że wpadła na ślad nowych, dotąd nieznanych pierwiastków, o nieporównanie większej sile promieniotwórczej, niż uran i tor.

Zasadniczo, spostrzeżenie to było już odkryciem polonu i radu, teraz należało tylko wydzielić te pierwiastki w stanie czystym i określić ich własności chemiczne i fizyczne.

„Jak najszybsze stwierdzenie tej hipotezy było zadaniem niezmiernie pociągającem. Głęboko niem zainteresowany, porzucił Piotr Curie swą pracę o kryształach i począł wraz ze mną poszukiwać tej nowej substancji.“

„W tym okresie pracy wielce dla nas ujemnym był brak odpowiednich warunków: lokalu, pieniędzy i personelu. Pechblenda (ruda) była materjałem kosztownym i nie mogliśmy zakupić jej dostatecznej ilości.“

Wpadli zatem na myśl, by do badań użyć bezwartościowych (jak sądzono) odpadków rudy, odrzucanych w kopalniach w Joachimstal, po wydobyciu z nich uranu.

Ponieważ badania wymagały dużo wolnej przestrzeni, wystarano się o pozwolenie użycia na ten cel starej szopy w podwórzu szkoły fizycznej. Będziemy mieli pojęcie, jak tytaniczną była praca, jeżeli zauważymy, że należało precyzyjnie przerobić 1.000 kg. rudy i wykonać 10.000 krystalizacji, by wyodrębnić ledwie parę decygramów radu!

„Musieliśmy wypełniać naszą szopę wielkiemi naczyniami, zawierającemi płyny i osady. Przenoszenie tych naczyń i przelewanie ich zawartości było wyczerpującą pracą.“

„Szczególną radość sprawiało nam, że wszystkie nasze przetwory — skupiające się wokoło radu — dają samorzutne światło.“

„Gdyśmy czasem wieczorem powracali do naszej szopy, ze wszystkich stron witały nas blade, rozproszone światełka, jakby zawisłe w ciemnościach.“

„W tej szopie spędziliśmy najszczęśliwsze lata naszego istnienia, poświęcając się całkowicie pracy.“

W lipcu r. 1898 małżonkowie Curie zakomunikowali uczonemu światu o odkryciu polonu, a w grudniu tego roku, o odkryciu radu, który promieniuje kilka miljonów razy silniej niż uran. W r. 1900 Marja C. Skłodowska podała do wiadomości w „Revue Scientifique“, że: atomy nie są niezmienne, lecz ulegają szybkim przemianom; dowiedziono, że rad rozpada się stale, że powstają z niego nowe pierwiastki.

Żywot uranu trwa kilka miljardów lat, radu kilka tysięcy, polonu 1 rok, emanacji radowej kilkanaście dni, innych pierwiastków parę godzin, lub jeszcze krócej. Ostateczne wyniki tego rozpadu, to: gaz „hel“ i metal ołów.

W tym czasie rozpoczęto również odkrywać lecznicze właściwości radu.

Państwo Curie otrzymali nagrodę Nobla i wiele innych odznaczeń. Stworzono nową katedrę w Sorbonie, gdzie on został profesorem, ona zaś kierowniczką pracowni.

I oto, gdy już się zdawało, że będą odtąd mogli pracować w dogodniejszych warunkach, ginie Piotr Curie przejechany (w r. 1906) przez wóz ciężarowy, na ulicy Paryża.

Marja Curie-Skłodowska utraciła nagle ukochanego męża oraz długoletniego towarzysza pracy. Ale ta silna kobieta potrafiła stłumić ból i podjąć dalej pracę — teraz nierównie większą.

Musiała objąć po mężu katedrę, ofiarowaną jej jednomyślnie, prowadzić dalej pracownię, kontynuować prace naukowe, oraz wychowywać córki.

W r. 1910 wyodrębniła ostatecznie rad w stanie czystym (za co otrzymała drugą nagrodę Nobla) oraz w r. 1913-14 zorganizowała Instytut Radowy, gdzie starsza córka jest obecnie asystentką.

Dzisiaj, w trzydziestoletnią rocznicę odkrycia radu, zastanowiwszy się nad ogromem pracy jednego człowieka, skupmy się dostatecznie nad doprowadzeniem do czynu Instytutu Radowego w Warszawie. A być może rodaczka nasza zechce spędzić resztę pracowitego życia wśród swoich.

Adres Biura Komitetu „Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie" jest: Warszawa, Nowy Świat 21, od 4-ej do 6-ej, tel. Nr. 258-53.

R. RUDZIŃSKA

PORADNIE EUGENICZNE.

Uczeni twierdzą, że na świecie rodzi się coraz mniejszy odsetek ludzi utalentowanych. Gdyby policzyć wszystkich ludzi bardzo zdolnych, byłoby ich więcej, niż dawniej. Jeżeli jednak porównać ich ilość z ilością ludności, będzie ich stosunkowo znacznie mniej. Rodzi się natomiast coraz większy odsetek ludzi średnio zdolnych i zupełnie niezdolnych.

Zjawisko to tłumaczy się do pewnego stopnia tem, że żyjemy teraz w gorszych stosunkach. Wielkie miasta, gdzie najłatwiej mogłyby się talenty rozwinąć, mają duży procent ludzi niezamożnych, żyjących w warunkach mało sprzyjających rozwojowi zdolności. To też dużo talentów ginie marnie i nikt o nich nie wie. Gdyby można było wyłowić te jednostki, to procent ludzi zdolnych powiększyłby się, ale i tak byłoby ich mniej, niż dawniej. Podobno, ilość ludzi utalentowanych w Anglji, w porównaniu ze starożytną Grecją, jest tak teraz mała, że współczesną Anglję możnaby zrównać pod tym względem z jakąś dziką krainą Afryki.

Dlaczego tak jest — czem to się da wytłumaczyć?

Tłumaczy się to nieodpowiedniem doborem małżeństw. Hoduje się u nas piękne rasy koni i do tego celu mamy zdrowe ogiery; poprawia się rasy krów przez sprowadzanie odpowiednich buhajów. Dobiera się jajka kurze, wybiera się co lepsze ziarna do siewu. Mądry i zapobiegliwy gospodarz wie o tem, mądre rządy kładą na to nacisk jak największy.

Co innego, gdy idzie o życie ludzkie.

Ten sam gospodarz, choć zdrów i silny, pojmie za żonę kobietę słabą i chorowitą, bo mu o jej majątek idzie. Młode i zdrowe dziewczęta wychodzą za mąż za starych, niedołężnych starców, bo im tak rodzice każą lub dlatego, że liczą na rychłą śmierć męża i jego majątek. Zdolni mężczyźni łączą się z głupiemi kobietami.

Słowem, przy zawieraniu małżeństw, nie myśli się o doborze matki lub ojca dla przyszłych dzieci — myśli się o tem, jak wygodniej urządzić sobie życie. A skutek jest ten, że zamiast coraz doskonalszych ludzi, coraz lepszej rasy ludzkiej, rodzą się ludzie coraz słabsi fizycznie i coraz mniej utalentowani.

Najgorsze jednak skutki sprowadza łączenie się ze sobą ludzi chorych. Wystarczy, by jedno z małżonków nie miało zdrowia, by już to się na dziecku odbiło. Ileż to rodzi się na świat dzieci tak cherlawych, że żadne zabiegi rodziców na to nie pomogą? Ileż to dzieci przychodzi na świat martwe, ile przynosi ze sobą okrutne piętno kalectwa na całe życie, ile jest urodzonych niedołęgów, pijaków, zbrodniarzy i idjotów?

Ogromny rozrost wiedzy i skomplikowanie życia wymaga dziś dobrego zdrowia, dużej siły ducha i umysłu, by ostać się w walce o byt. Zabezpieczyć przyszłe swoje potomstwo od zagłady może tylko ten, kto dobrze się namyśli, z kim te dzieci mieć będzie.

Ten, kto sprawy tej dobrze nie rozważy, gorzko nieraz żałuje. Jeden znany mi z życia fakt dużo o tem mówi.

Znałam kiedyś panienkę — piękną, zdrową i bo-

gatą. Miała dużo wielbicieli. Mogła wybierać. Wybrała młodzieńca miłego, przystojnego, dosyć mizernego — dlatego, że miał piękne oczy. Po 5 latach od ślubu widziałam to małżeństwo w Zakopanem. Mąż — roztył się, zaokrąglił, miał twarz kwitnącą zdrowiem; żona — dogorywała na suchoty.

W niespełna rok po śmierci żony, ożenił się wdowiec z drugą dziewczyną—jeszcze ładniejszą i zdrowszą. Po czterech latach umarła mu na suchoty. W tej chwili jego trzecia żona, z którą żyje już 3 lata, jest już chora. Małżeństwo żyje w ciągłych niesnaskach. Żona nienawidzi męża, wie bowiem od doktora, że jest chora przez niego. Kwitnący ongiś małżonek zgarbił się, wysechł. Gnębią go wyrzuty sumienia — widzi w oczach żony ciągły wyrzut: przez ciebie jestem chora, może nawet umrę. Gdy zaś zastanawia się nad swojem życiem, gdy szuka w sobie winy, złej woli — znaleźć jej nie może: Przecież nikt mu nie powiedział o tym, że sam pozornie zdrowym będąc — jest naprawdę rozsadnikiem choroby.

Tak, wiele ludzi nie wie o tym wcale, czem grozi innym bliższe zetknięcie się z nimi. Ale są i ludzie, którzy o swej chorobie wiedzą, a mimo to ważą się na to, by innych zarażać. Sami są nieszczęśliwi i innych w to nieszczęście wciągają. I dlatego jest niezmiernie ważną rzeczą, by wszyscy narzeczeni poddali się przed ślubem badaniom lekarskim. Dla dobra własnego, dla dobra przyszłych ich dzieci, dla dobra narodu całego. Wielu, wielu nieszczęść udałoby się wtedy uniknąć. Niewielki to koszt, niewielki to wysiłek. Są u nas przecież specjalne poradnie dla narzeczonych. Trzeba przezwyciężyć w sobie tylko fałszywy wstyd i postawić sobie nawzajem jesno sprawę: nie dla pięknych oczu, nie na krótką chwilę łączą się ludzie ze sobą.

W Polsce jest 6 takich poradni: w Warszawie, Poznaniu, Włocławku, Białymstoku, Katowicach, Wilnie. Nazywają się one: Poradnie Eugeniczne. Porada kosztuje tylko 3 zł. W Warszawie mieści się ona przy ul. Nowy-Świat 1.

B. PAWŁOWICZ

Mister James Brown w Warszawie.

Hamulce zazgrzytały. Pociąg stanął.

— Warszawa! — zawołali konduktorzy.

Z trzaskiem roztwierały się drzwiczki wagonów. Tłum podróżnych zaległ peron. Tragarze przepychali się między ciżbą i tłoczyli do wnętrza przedziałów.

— Warszawa, Warszawa!

Mister James Brown przerzucił pled przez ramię, walizkę ujął w rękę i pyknąwszy trzykrotnie z fajeczki, ruszył dostojnym krokiem ku wyjściu.

Gdy oddawał bilet w tłoku, pchano go ze wszystkich stron.

— Pardon! — rzekł anglik z uśmiechem do najbliższego, a najbardziej rozpychającego się pana.

Spojrzały nań oczy złe, a potok wymysłów runął niby lawina.

— Uważaj pan, psia krew — ryczał okazały jegomość w niedźwiedziach — tu nie „Luna park", by się potrącać!

Mister Brown nie rozumiał ani słowa, lecz widział twarz gniewną i to mu wystarczyło.

Strzepnął popiół z fajki, schował ją do kieszeni, postawił walizkę pod ścianą, ułożył pled, zdjął palto i szykował się nie na żarty do boksu.

Ale jegomość w niedźwiedziach nie miał ochoty wstępować w szranki bojowe. Ktoś szepnął mu w ucho:

— Panie, to cudzoziemiec!

Więc obraźliwy pan rozpogodził oblicze:

— Pardon! — niech cię kule biją, a skądże mam wiedzieć, że pan „zagraniczny"?!

Anglik spoglądał bez zdziwienia, bo co kraj to obyczaj, więc wzruszył ramionami, naciągnął kurtkę, napół zdjętą z ramion i odwrócił się, by zabrać rzeczy.

Lecz ani palta, ani pledu, ani walizki już nie było.

— Fiu!—gwizdnął i zdumiał się srodze nad dziwnemi obyczajami tego kraju. Palto, niech tam! Pled, niech tam! Walizka z neseserem! — głupstwo.

Ale papiery towarzystwa naftowego „Brown Company", papiery, z któremi przyjechał aż tu — te papiery musi odzyskać!

Na gładko wygolonej twarzy mister Browna nie znać było zdenerwowania.

Jeno szczęka, silnie zarysowana i wystająca, latała mu nieznacznie wprzód i w tył, w przód i w tył, co zawsze było oznaką silnego wzruszenia.

Na schodkach dworcowych stało dwóch policjantów.

Mister Brown podszedł ku nim.

— Policeman, policeman... — mówił anglik, starając się wytłumaczyć o co chodzi za pomocą gestów i mimiki.

— Zaraz, zaraz, poczekaj pan! — odparł pan posterunkowy, bardzo zajęty obserwowaniem dwóch „kanciarzy", którzy normalnie trudnili się „nabieraniem" przyjezdnych.

— Panie starszy! — zapiszczał nad niemi mały andrus — ja wiem, o co temu „amerykanowi" chodzi. Widziałem, jak go okradli!

— Nie pleć smyku głupstw!

— Jak Boga kocham, panie starszy, niech mnie tak szlag trafi, niech mnie rodzona matka nie pozna, niech mnie...

— Stul pysk, cholero! — krzyknął groźnie policjant.

A mister Brown rozmyślał:

— Nie rozumiem: Ciągle ktoś na kogoś krzyczy, a nikt mi nie pomaga. A ten język polski! Bardzo łatwy. Same znajome słowa:

„Sza krew". — To umie cały świat. „Pardon" to po francusku. „Kolera" to słowo też znajome, a „tiul pik" zupełnie dźwięczne, zupełnie.

— Policeman, mister, panje! — próbował tłomaczyć znowu.

Obaj policjanci ukłonili się grzecznie.

— O, ci przynajmniej grzeczni! — ucieszył się anglik.

— Panie Jóźwiak, co robić, nie kapuję ani be, ani me?

— Prowadź pan faceta do komisarjatu, przodownik Stachelski mówi po angielsku, dogadacie się!

— Panie mister, panie mister, chodź pan ze mną, chodź pan.

Anglik wzruszył ramionami i zniecierpliwiony, by uzyskać konieczny spokój, zapalił fajeczkę.

— No, chodźże pan, proszę pana, niech pan pozwoli!

I mister Brown poczuł, że ujęto go delikatnie pod ramię i kierowano ku wyjściu.

Obruszył się na to w pierwszej chwili, lecz przypomniał sobie zaraz, że to policja, uśmiechnął się beztrosko i ruszył posłusznie.

Lecz wokół nich zebrał się już tłum, a gdy posterunkowy ujął anglika pod ramię rozległy się gwizdy.

— To międzynarodowy oszust! — objaśniał jakiś mizerny człowieczyna, dygoczący całem ciałem na zimnie, lecz wartujący już od godziny na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej... z ciekawości.

— Ależ nie! — zaprzeczyła mu pani w karakułach.

— To niemiecki złodziej kolejowy, jechałam z panią, która *widziała*, jak skradł pled jej sąsiadowi.

— I ona go złapała?

— Jej pled, czy co!

— Co też pani wygaduje — oburzył się pan w niedźwiedziach, ten sam, który potrącił mister Browna.

— *Ja sam* widziałem, jak okradano tego anglika.

— Trzeba było zawołać policję.

— Kiedy on chciał mnie bić.

— No, ale...

— Moi państwo! Też dzikie pretensje! Czy ja jestem „stójkowym". Niech sam pilnuje swoich rzeczy!

Gromadka wyrostków biegła za mister Brownem i policjantem.

Anglik spoglądał na uliczników z uśmiechem.

— Ci zawsze tacy sami, na całym świecie! — myślał.

Spoglądał na tłum, stojący na chodnikach. „Ranna godzina, biedacy, co u nich ludzi „bez chleba" włóczy się po ulicach".

Patrzał na nędzne jednopiętrowe domki, stojące na roku Marszałkowskiej i Widok.

— „Pamiątki wielkiej wojny zapewne".

Rzucił okiem do wnętrza kawiarni, którą właśnie mijano.

— Tłumy, może to święto? Ale nie, dziś wtorek, więc pewno święto narodowe.

Medytował tak, medytował owak i nakoniec zaczęła go bawić dziwna przygoda.

— Paszport pan ma? — zapytał w komisarjacie mister Browna przodownik Stachelski łamaną angielszczyzną djablo trudną do zrozumienia.

Lecz mister Brown ucieszył się, jak na widok dawno niewidzianej, miłej osoby.

— Okradli mnie! — rzekł wesoło.

Przodownik spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Niech pan siada — odparł — spiszemy protokół.

KINOKRONIKA.

King Vidor spróbował tu dać pewną odmianę „*Niepotrzebnego człowieka*". Założenie jest właściwie to samo. Ta sama tu, jak tam niezaradność życiowa, prowadząca do zagłady jednostki. Jannings jednakże, jest ukazywanym na tle jednostek — Murray na tle tłumu. Jannings ginie na horyzoncie bezapelacyjnie i bezkompromisowo — Murrayowi wraca żona. Powrót ten jest nienaturalny, nie tłumaczy się i nie wzbudza zaufania, bo przecież nic się nie zmieniło: Murray jest w dalszym ciągu idjotą, nieporadnym wałkoniem. Uznanie ma tylko u dziecka, które powiada: „kiedy wyrosnę, chciałbym być takuteńki jak ty, tatusiu..." Dziecko widzi w nim tylko dobroduszność i ową bezbronność, która go do jego poziomu zbliża. Dorośli widzą półgłówka, który nie umie ani na żonę zapracować, ani na dzieci, a ciągle stawia zamki na lodzie.

Film ten, literacko zbudowany bardzo konsekwentnie, z doskonale umocnioną konstrukcją, logiczny i mocny — na ekranie stoi na przerażająco kruchych podstawach. Jeden napis wypuszczony, jedna scenka obcięta, a film kładzie się jak długi, rozsypany w proch. Jest nazbyt literacki. Nawet gdy przychodzi żywsza akcja, nie wnosi ona fundamentalnego elementu, t. j.: ruchu na ekran. Jest jakby tylko podszewką pod rzecz zasadniczą, pod psychologiczne zagadnienie. Stąd pewne unieruchomienie całej akcji. Dziecko wpada pod samochód, umiera — zdawałoby się, scena odpowiednio fotogeniczna i dynamiczna — czy ożywia film? Właściwie nie, bo wszystko się skupia na drobnych ruchach złamanego nieszczęściem Murraya, który chodzi od jednego do drugiego z obecnych i prosi z palcem na ustach, aby się zachowywali cicho, bo umiera dziecko. Brutalnie mu wtedy odpowiadają: „czy pan zwarjował?! cały świat ma dlatego stanąć, że panu dziecko chore?!" Niektórzy ukazują mu współczucie, ale naogół: „tłum śmieje się z nami, tłum z nami płacze, lecz nie dłużej jak jeden dzień..." Vidor chciał powiedzieć, że tłum to masa chłonna, która wciąga wszystkie nieodporne, niewybitne jednostki. Tworzą one sobie pozory wolności, pozory osobistego życia, szczęścia, domowych rozkoszy, ale właściwie są tylko jednem wielkiem „niczem" w masie. W szarej, jednolitej masie.

James Murray, nowa gwiazda Metro Goldwyn Meyera, wywiązał się z nadludzkiego zadania niezwykle dobrze. Był ciągle tą głupawą, tą poczciwą przeciętnością, borykającą się



i z wypadkami, które ją przerastają i z nieszczęściami nie na jej miarę. Konflikt ten podkreśla Murray z dużą subtelnością. Eleonora Boardman jest typową mieszczką, pełną zaradności, kłopotów kuchennych, wiary w zdolności męża. Ładna i dobra aktorka. Techniczne ujęcie obrazu jest wysokiej klasy. Tłumy, przekroje ulic, sale biurowe, gdzie setki urzędników są jedną tylko zwartą i bezimienną całością, drobne szczegóły — wszystko wypracowane i wypieszczone dłutem wytrawnego artysty i znawcy ekranu. Mają też amerykanie pod ręką wszystko co potrzebne reżyserowi, aby się obraz udał. Najnowsze środki techniczne, no i... duże środki pieniężne. Krocie kosztuje taki film!

M. J. Wielopolska.

Każdy Opiekun Główny, każdy opiekun klasowy, Członek Opieki Szkolnej ma obowiązek moralny zaprenumerować tygodnik Rady Szkolnej dla siebie i zdobyć przynajmniej 2 prenumeratorów z pośród rodziców.

Każda Opieka Szkolna powinna wejść w bezpośredni kontakt z naszą redakcją, nadsyłając jak najczęściej wzmianki o swej działalności, sprawozdania, artykuły i informacje w sprawach opiek szkolnych.

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Marzec zaczyna się zwolna otrząsać z mrozów i wichrów, a parostopniowe ciepło topi ostrożnie zwały śnieżne, niebywałe w Polsce od stu lat.

Niedługo lody ruszą na rzekach zamarzłych w wielu miejscach aż do dna.

Wisłę nazywamy królową naszych rzek i, jako królowa, jest ona najgroźniejsza.

Płynie przytem z południa na północ, a roztopy w górnym jej biegu bywają wcześniejsze od roztopów w Warszawie, Płocku, Włocławku, Toruniu, Grudziądzu i Tczewie.

Gdyby więc potworzyły się zatory lodowe dolna Wisła grozi wylewem i to wobec grubości lodów wylewem olbrzymim.

Zatory zaś tworzą się prawie rok rocznie na ostrych skrętach i mieliznach nieuregulowanej rzeki.

Zima groźna, mroźna i śnieżna ostrzegła, że żartów nie ma. Zrozumiały to władze nasze i robią wszystko, co zrobić można doraźnie, by przypuszczalną klęskę powodzi zmniejszyć, a ludzi i ich mienie wyratować.

Władzom pomagają samorządy i społeczeństwo, zorganizowawszy komitety ratownicze i przygotowując schronienia dla powodzian, odzież, narzędzia, żywność i t. p.

W Warszawie najbardziej zagrożone są przedmieścia: Pelcowizna, Marymont, Potok, Siekierki i Saska Kępa. Leżą one 2 do 4 metrów nad poziomem wody w Wiśle, a wałami zabezpieczone są tylko częściowo. Dlatego też przedmieścia te zalewane są perjodycznie od czasu do czasu i dopóty będzie trwał ten anormalny stan, dopóki Wisły nie ureguluje się conajmniej na 50 klm. w górę rzeki od Warszawy i 50 klm. w dół.

Jak więc widzimy, choć przygotowania przeciwpowodziowe prowadzone są bardzo energicznie są one tylko środkiem zapobiegawczym, doraźnym.

Czas byłby już uregulować największe nasze rzeki. Taka olbrzymia katastrofa powodziowa, jak w roku 1927 na Podkarpaciu, przynosi i państwu i narodowi znacznie więcej strat materjalnych, niż wynosiłby koszt przeprowadzenia regulacji.

Bep.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. LOGOGRYF.

W podanej figurze poprzestawiać tak litery, aby utworzyć według podanych niżej znaczeń 13 pięcioliterowych wyrazów. Wówczas rząd pierwszy pionowy da rozwiązanie.

1	A	A	A	A	A
2	A	A	A	A	A
3	A	A	A	A	A
4	B	B	B	C	D
5	E	E	E	E	F
6	H	H	I	I	K
7	K	K	K	K	L
8	L	M	M	N	N
9	O	O	O	O	O
10	O	O	P	P	R
11	R	R	R	R	R
12	R	T	T	T	T
13	T	U	V	W	W

Znaczenie wyrazów:

1. Bicz myśliwski
2. Poezja epiczna
3. Miasto w Polsce
4. Aerostat
5. Skutek, wrażenie
6. Zwierzę o ciele wydłużonem
7. Droga, szosa
8. Godność osobista
9. Lek, strach
10. Rzeka w Czechosłowacji
11. Miejsce niezajęte
12. Doborowe towarzystwo
13. Piękny koń

Nr. 2. KWADRAT MAGICZNY.

W podanym kwadracie poprzestawiać litery tak, aby powstało pięć wyrazów, czytanych jednakowo poziomo i pionowo.

A	A	A	A	A
A	A	A	B	D
E	E	K	K	N
N	O	O	R	R
R	R	R	S	T

Znaczenie wyrazów:

1. Tymczasowe mieszkanie
2. Miejsce popisów
3. Sprężyna
4. Elektrod dodatni
5. Miara drogich kamieni

Rozwiązanie zadań z Nr. 4.

Nr. 1. PRZEKŁADANKA.

1	**M**	A	K	A	T	A
2	L	**I**	K	I	E	R
3	P	A	**S**	T	O	R
4	K	L	I	**S**	Z	A
5	S	A	L	O	**P**	A
6	O	T	E	L	L	**O**
7	A	T	Y	L	**L**	A
8	M	A	M	**O**	N	A
9	K	O	**N**	D	O	R
10	M	**I**	K	R	O	N
11	**A**	N	G	O	R	A

MISS POLONIA

Nr. 2. KWADRAT MAGICZNY.

K	O	R	A	N
O	B	A	W	A
R	A	P	I	R
A	W	I	Z	O
N	A	R	O	K

Za trafne rozwiązanie obu zagadek nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe“ przeznacza Redakcja w drodze losowania książki.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.

Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.

WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Tel. 293-47.